

DIRK BRAUNS

Café
AUSCHWITZ





Dirk Brauns (ur. 1968 r.) wychował się w Berlinie Wschodnim. Obecnie mieszka w Berlinie i w Warszawie. Przez wiele lat pracował w Pekinie i w Warszawie jako korespondent dla gazet i periodyków, między innymi dla „Die Woche”, „Berliner Zeitung” i „Wirtschaftswoche”.

Wydane do tej pory powieści Dirka Brauns: *Berlin – München. Zu Fuss (Z Berlina do Monachium. Piechotą)* – wyd. 1997 r., *Im Inneren des Landes (We wnętrzu kraju)* – wyd. 2012 r.

Ze wstępu Zofii Posmysz

Znakomita książka. Jej tematem jest przyjaźń młodego Niemca z Januszem, byłym więźniem obozu Auschwitz-Birkenau (...). Historia przedstawiona bez upiększeń, w poetyce wręcz reportażowej, porusza autentyzmem, pobudza do myślenia, a może i do przewartościowania stereotypów.

DIRK BRAUNS Café Auschwitz

DIRK BRAUNS
Café Auschwitz

WYDAWNICTWO AKCENT · WARSZAWA 2013

Tytuł oryginału
Café Auschwitz

Przekład
Wojciech Włoskowicz

Redakcja i korekta
Marek Bluszcz, Ewa Bluszcz

Projekt typograficzny, skład i łamanie, projekt okładki
Maciej Matejewski · www.zecerstwo.pl

*Wydano we współpracy z Fundacją Konrada Adenauera
i jej finansowym wsparciem.*

*Herausgegeben in
Zusammenarbeit und mit
finanzieller Unterstützung der
Konrad-Adenauer-Stiftung.*



Konrad
Adenauer
Stiftung

*Wydano z finansowym wsparciem
Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.*

*Herausgegeben mit finanzieller
Unterstützung der
Stiftung für Deutsch-Polnische
Zusammenarbeit.*



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Wydanie pierwsze
Warszawa 2013

© Copyright by BC Edukacja sp. z o.o., Warszawa 2013

ISBN 978-83-7802-188-9

Wydawnictwo Akcent
BC Edukacja sp. z o.o. · ul. Żurawia 43 lok. 320, 00-680 Warszawa
tel. 22 862 17 96 · info@bc.edu.pl

www.wydawnictwoakcent.pl

Z upływem lat granica między nami i wami staje się coraz mniej wyraźna, jesteście częścią nas, a my jesteśmy w jakimś stopniu waszym dziełem (...) przeklinać was za to czy błogosławić, nie wiem, wiem jedno, nigdy nie uwolnimy się od was, obojętne, wykroimy z żywego ciała ten kawałek skóry z tatuażem czy nie (...).

Zofia Posmysz, *Wakacje nad Adriatykiem*

WSTĘP

Słowo od Świadka

Znakomita książka. Jej tematem jest przyjaźń młodego Niemca z Januszem, byłym więźniem obozu Auschwitz-Birkenau, stanowiąca fabularną oś utworu. Historia przedstawiona bez upiększeń, w poetyce wręcz reportażowej, porusza autentyzmem, pobudza do myślenia, a może i do przewartościowania stereotypowych zastrzeżeń.

Kompozycja sprawia, że czyta się ten quasi-reportaż jak powieść sensacyjną: przeplatają się wątki, realia, zmienia się odpowiednio poetyka. Poznajemy prywatne życie narratora, nauczyciela w niemieckiej szkole w Warszawie, i zaburzenia w tym życiu po poznaniu Janusza. Następują zwroty akcji: uczestnictwo w pracach wolontariuszy niemieckich w Muzeum Auschwitz-Birkenau, późniejsza z Januszem wyprawa do Oświęcimia, uczestnictwo w zjeździe byłych więźniów i spotkania z niemieckimi „turystami”, niekonwencjonalnie, werystycznie opisane, wreszcie podróż do Niemiec w poszukiwaniu byłego esesmana, którego Janusz jakoby pamiętał z pobytu w obozie.

Ten rozdział powieści, w którym narrator występuje w roli dziennikarza śledczego, jest fascynującym reportażem. Narrację uzupełniają dokumenty same w sobie niezmiernie ciekawe. I wreszcie – być może najbardziej istotny – walor utworu: wizerunek Janusza z jego słabościami, kompleksami, poobozową traumą. Psychologiczne portrety drugoplanowych postaci, nakreślone nieraz kilkoma zdaniami, oraz autopsychanaliza samego narratora sprawiają, że ta sugestywna proza mówi o kondycji ludzkiej w ogóle.

Na koniec pragnę zaznaczyć, że nie jestem krytykiem literackim, a wypowiadam się jako czytelniczka i była więźniarka obozu Auschwitz-Birkenau. Od lat współpracuję z Międzynarodowym Domem Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu. Przybywają tutaj z Polski i Europy młodzi ludzie, którzy, znając temat obozów zagłady z literatury czy filmu, chcą swoją wiedzę poszerzyć. W Muzeum Auschwitz-Birkenau studiują dokumenty, zwiedzają obozy, a na koniec spotykają się z byłymi więźniami, nielicznymi już świadkami historii. Otóż marzy mi się, aby powieść *Café Auschwitz* stała się ich lekturą. Może znajdzie się wśród nich ktoś, kto, jak Dirk Brauns, podejmie temat i pamięć o obozach zagłady przekaże przyszłym pokoleniom jako znak ostrzegawczy?

Zofia Posmysz

I

Warszawa

Szum komory gazowej. Janusz wybałuszył oczy, nadął policzki i zademonstrował, jaki odgłos wydobywał się z budynku krematorium nr 4, gdy wszyscy już pomierali.

– Jak z ula – powiedział.

Przez kawiarnię niosło się dudnienie muzyki pop. Obok nas siedziała wymieniająca czułości parka nastolatków i zdawało mi się, że wobec pokazu Janusza wszystko jest, wszystko musi być nie takie: stół pomiędzy nami, a na nim napoczęte kawałki szarlotki, w filiżankach tłuste, posypane kakao kopczyki bitej śmietany i nasze niemieckie słowa – skuliłem się, ściszyłem głos, jednocześnie nie chciałem i chciałem tam być.

Janusza po raz pierwszy spotkałem w pewien czwartek. We czwartki miałem lekcje od jedenastej i przed lekcjami chętnie zamawiałem cappuccino w „Corso” przy placu Zbawiciela. Były w Warszawie lepsze kawiarnie. Naprzeciwko, pod arkadami, chętnie wybierana przez studentów „Karma” albo na rogu – nastawiona na biz-

nesmenów – „W biegu café”. W obu był dostęp do Internetu i doskonała kawa.

Po zaliczeniu wszystkich chodziłem już tylko do tej zazwyczaj pustej lodziarni z oknami i drzwiami zielonymi jak wielkanocne ozdoby, narożnymi siedzeniami, sprawiającymi wrażenie wykonanych samodzielnie przez właściciela, i największym sztucznym fikusem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Prawdopodobnie ten stary człowiek o popielatosiwych włosach często tam siedział, podczas gdy ja gapiłem się przez okno ściskając w rękę filiżankę z kawą. Ale nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by w tym samym czasie zadzwonił mój telefon. Nigdy przedtem nie mówiłem w „Corso” po niemiecku.

– Pan pozwoli do mnie! – zawołał, odsunął na bok gazetę i zaproponował szarlotkę. Niestety, po telefonie musiałem udać się do szkoły. Dałem mu numer i przyrzekaliśmy sobie uroczyście spotkać się we czwartek za tydzień.

Podejrzywałem już wtedy, że to nie dojdzie do skutku, podejrzewałem już wtedy, gdy ściskaliśmy sobie dłonie. Nie pociągali mnie głośni, weseli ludzie. Nie musieli być w jakikolwiek sposób niemili, ale natarczywość, z jaką chcieli dzielić się swoim dobrym nastrojem, odpychała mnie. Równie nieprzyjemna była myśl o tym, że w oczach tego bywalca kawiarni, który widocznie lubił Niemców, mogę stać się niesłownym, jednak moje czwartkowe cappuccino ustąpiło wkrótce mojej wszechogarniającej bezsilności.

Były na to specjalistyczne terminy i środki farmakologiczne, ale z biegiem lat przyzwyczailem się znosić napady słabości jak złą pogodę. Zawód nauczyciela nie daje możliwości, by sobie pofolgować. Dlatego z wielkim

hukiem zamykały się za mną wieczorem drzwi mojej szkoły. Tak jak w dzieciństwie kładłem się na dywanie w salonie, wodziłem oczyma po stosach niesprawdzonych klasówek i zanurzałem w muzyce Van Morrisona. To było takie „nic”, wisząca nade mną ciepława chmura, która przypominała mi o czasach, gdy jako chory sześciolatek, przy pierwszym symptomie choroby owijany w wełniane koce, musiałem jeść rosół z rozdrobnionym chlebem.

W niemalym stopniu przyczyny moich awarii upatrywałem w wartkim tempie życia stolicy. Warszawa z pewnością nie była prowincjonalna ani zaspana. Na stacji metra Centrum wielu ludzi, chcąc dostać się do góry, zamiast ze schodów ruchomych, korzystało ze znajdujących się obok schodów kamiennych. Fenomen ten obserwowałem o różnych porach dnia. Zawsze z takim samym wynikiem. Połowa pasażerów decydowała się na bieg. Z tego nie miała część – sprintem.

Na automatycznej sekretarce była jakaś wiadomość, prawdopodobnie od Janusza. Dzwoniący od razu zaczął mówić i sygnał sekretarki zbił go z tropu. Usłyszałem sapanie, zobaczyłem numer na wyświetlaczu, ale nie oddzwoniłem. Czego ode mnie chciał? Łączyła nas dziwaczna skłonność do świecącej pustkami kawiarni, co jako bodziec do zawarcia znajomości było w zupełności wystarczające. Ale była we mnie ta bezwładność. W chwilach mobilizacji walczyłem z nią jak ze smokiem, którego odrąbywane głowy ciągle odrastały.

Dopiero gdy kilka dni później Janusz bezpośrednio się do mnie dodzwonił i usilnie nalegał na spotkanie w „Corso”, bo chciał mi coś opowiedzieć, przemogłem się i obiecałem przyjść.

Za niemieckiej okupacji był członkiem grupy wywiadowczej „Komenda Obrońców Polski”. W Generalnym Gubernatorstwie, na Białorusi, na Litwie i Ukrainie agenci tacy jak on zbierali informacje o ruchach wojsk niemieckich oraz transportach sprzętu i zaopatrzenia i przekazywali je brytyjskiemu wywiadowi. Po tym, jak organizacja została rozbita i Janusz został we Lwowie aresztowany, przez trzy miesiące przesłuchiwało go gestapo.

Wskazał na swoje przednie zęby. Potem je wyjął, wspomniał o otrzymanych ciosach, włożył zęby z powrotem i krzyknął, przechodząc odtąd na „ty”:

– Musisz mówić głośniej. Na przesłuchaniach bili mnie po uszach. Co chcesz wiedzieć?

Co chciałem wiedzieć? Oświećm Janusza natarł na mnie niczym fala z puszek cyklonu B przy krematorium nr 4 wypełniona obrazami zagazowania jego matki, planów samobójstwa, przeżycia jako akordeonista, jego obozowej miłości Soni z baraku ze skonfiskowanymi rzeczami i wszystkich zamordowanych.

Większość z nich stanowili Żydzi, dla mnie egzotyczni jak indiańskie plemię. Dorastałem w świecie, w którym nie istnieli. Ani nie odczuwałem ich braku, ani nie przypominałem sobie, żeby w czasach mojego dzieciństwa się o nich mówiło. Jak często padały słowa „Żyd” i „żydowski”? Raz na pięć lat?

Ale pomordowani przypomnieli mi moich dziadków.

To oni siedzieli obok mnie i przysłuchiwali się Januszowi, powojenni Niemcy, opiekujący się mną po śmierci rodziców. Nie rozumiałem. Co mój dziadek, którego z powodu zamiłowania do opery wszyscy nazywali Caruso, miał wspólnego z tymi zamordowanymi? Jego

służba wojskowa w czasie wojny jako szeregowego żołnierza Wehrmachtu nie kryła w sobie, jak zakładałem, żadnych zbrodni. To było coś innego, raczej wspomnienie atmosfery pełnej aluzji i tłumionych westchnień, niebezpiecznie lśniącej powierzchowności, po której zdawało się płynąć całe moje dzieciństwo. Przypomniałem sobie starych mężczyzn, którzy w czasie przyjęć urodzinowych stali przed domem moich dziadków i palili cygara albo wujków, którzy przy stole zastawionym kawą chwalili koleżeństwo, poklepywali mnie po policzkach, a przy pożegnaniu próbowali całować w usta.

Chociaż krępowała mnie rozmowa prowadzona w Warszawie po niemiecku, odczuwałem jednocześnie zadowolenie. Janusz, opowiadając, dotykał często moich rąk. Ponad stołem wciągał mnie w swoje życie. Czułem ten zapach starych ludzi, widziałem srebrne kępki włosów wystające z nosa, jego wąskie palce i skórę pokrytą starczymi plamami.

Britta podsunęła mi kronikę Powstania Warszawskiego. Tygodniami wszędzie taszczyłem ze sobą tę książkę. Miała czarną okładkę, a pod tytułem znajdował się kolaż fotografii ukazujących ruiny. W czasie przerwy w rozmowie podałem ją Januszowi, a on pomyślał, że egzemplarz należy do mnie i że ma w nim złożyć podpis. „Alexowi Ambergowi Janusz Cichowski – na pamiątkę naszego spotkania w Warszawie” – wpisał i książka z licznymi zakreśleniami zrobionymi przez Brittę przeszła na moją własność.

Gdy jej o tym wieczorem opowiedziałem, wyszła z siebie. Chociaż byliśmy ze sobą związani od wieków, a rozpoczynając pracę w niemieckiej szkole w Warsza-

wie zrobiliśmy następny krok – zamieszkaliśmy wspólnie, obstawiała przy oddzielnej własności i osobnej kasie. Krzycząc:

– To jest prezent od mojego wujka! – stukała palcem w dedykację od Janusza.

– Przepraszam! Nic nie mogłem zrobić. Po prostu się wpisał.

– Po prostu się wpisał? Nie potrafisz tego zrozumieć, że są rzeczy, którymi nie da się dzielić!

Oddała mi książkę i zniknęła w swoim gabinecie.

Przy pożegnaniu przed „Corso” dostałem od Janusza plik papierów.

– To materiały o esesmanie Kurcie Gersteinie, przede wszystkim jego relacja o pierwszych masowych mordach. Znasz go?

Zaprzeczyłem i otrzymałem polecenie, by zapoznać się z dokumentami i potem zadzwonić.

Zrobiłem to dopiero po paru tygodniach. Najpierw jak bohater Franza Kafki rzuciłem się w wir pracy nauczycielskiej. Nigdy nie uważałem się za utalentowanego pedagoga. Na drugim roku studiów wypełniłem ankietę psychologiczną i od tego czasu byłem przekonany, że przygotowuję się do niewłaściwego zawodu. Moją słabą stroną były kwestie takie jak przyjemność z pracy z dziećmi i odporność na stres. Zastanawiałem się, czy nie odpuścić. Główną cechą mojej grupy ryzyka była rezygnacja. Ponadto problem braku umiejętności odpoczywania. Mimo to kontynuowałem studia. Potem staż. W końcu uzyskałem dyplom nauczyciela.

W czasie pracy w Berlinie wykładałem się przede wszystkim na braku umiejętności działania w sposób

autorytarny. Tutaj, w modelowej niemieckiej placówce w Warszawie, jeśli chodzi o dyscyplinę i motywację uczniów, był raj. Już sama wielkość klas – maksymalnie piętnastka uczniów – to był luksus. Ale wcale nie poczułem się lepiej. Zamiast tego opanowała mnie złość na trzymane pod kloszem dzieci dobrobytu oraz ich arogancję.

Podczas lekcji niemieckiego w klasie 13A, właściwie mojej ulubionej, Marcin Kiszniak, syn polskiego lekarza, wygłaszał referat o powieści *Poddany* Henryka Manna. Przesiadłem się na koniec sali. Marcin miał w klasie ksywkę „Profesor”. Gdy temu niezdarzemu chłopakowi dawałem możliwość błysnięcia wykładem, zmieniał się nie do poznania. Na początku przyznał, że z braku czasu książki nie przeczytał do końca. Swoją fantastyczną niemczyznę mówił o powieści jako o „karykaturze czasów wilhelmińskich”, nakreślił koloryt epoki, wyjaśnił krytykę niemieckiego nacjonalizmu, a potem, ku mojemu osłupieniu, zaczął drwić z książki i z autora.

– Henryk Mann zapomniał opisać studia chemiczne swojej głównej postaci, a ponadto książka z takim głupim bohaterem dziś już raczej nie może nikogo wciągnąć.

Powinienem być cieszyć się z tego przerywnika, ale nie byłem aż tak opanowany. Rozzłoszczony poderwałem się, chwyciłem książkę Marcina i przeczytałem sam jej początek:

„Diederich Hessling był dzieckiem potulnym, skłonny do marzeń, wszystkiego się lękał i często chorował na uszy. W zimie niechętnie wychodził z ciepłego pokoju, latem nie opuszczał małego ogródka, w którym cuchnęło gałganami z papierni, a dokoła którego, nad

krzakami forsycji i bzu, sterczały drewniane ściany starych domów. Niekiedy, gdy Diederich oderwał wzrok od ulubionej książki z bajkami, przenikało go uczucie wielkiego strachu. Najwyraźniej widział obok siebie na ławce ropuchę, niemal tak wielką jak on! Albo naprzeciw, pod murem, tkwił aż po sam pas w ziemi karzełek i zerkał w jego stronę!

Straszniejszy niż ropucha i karzełek był ojciec, którego na domiar złego trzeba było kochać...”

– To jest twoim zdaniem nudne?

– Właściwie to tak.

– Ta książka powstała w 1914 roku. Nie czujesz wiatalności zachowanej w jej języku?

– Nie interesuje mnie to.

– Ale my tutaj jesteśmy na lekcji języka niemieckiego. Masz przed sobą stuletnie dzieło, wypowiadasz się o jego wartości literackiej z ignorancją i małostkowością, a nie doczytałeś nawet do końca. Czy to nie jest brak szacunku?

– Dla pana?

– Chodzi raczej o autora!

– Już dawno nie żyje i wedle mojej wiedzy jako twórca słusznie znajduje się w cieniu swojego brata.

I tak to wyglądało aż do dzwonka.

Marcin uśmiechał się szyderczo, a czternaścioro uczniów rozkoszowało się moją bezsilnością.

W ponurym nastroju zmieniłem salę. W czasie wakacji na klatce schodowej pojawił się dziwaczny wzór maskujący, którego zielone i brązowe plamy sprawiały, że wnętrze szkoły przypominało koszary. Myślałem o własnych nauczycielach, ale byli oni cieniami we mgle

i nie stanowili wzoru. Mimo to zacząłem grzebać w epizodach. Co znaczył pan G., matematyk, którego na dziedzińcu szkoły trafiłem w głowę pigułą, a on się nie odwrócił? A pani W. od rosyjskiego, która na złe zachowanie reagowała wybuchami płaczu?

Za drzwiami, które pchnąłem, czekała mnie lekcja historii, klasa 12. Temat: wojna w Wietnamie. Zapytałem chłopaka, którego imienia nigdy nie mogłem sobie przypomnieć, o przyczyny konfliktu. Mówił przez minutę, a ja kiwałem głową. Aż jego sąsiad z ławki się zorientował, że opowiada o wojnie w Korei.

Po takich dniach Britta była moim ratunkiem. Kochaliśmy się w mansardzie pod pochyłą ścianą. Nasze ruchy przypominały mi koła lub ósemki, krągłe do doskonałości, pośród których – nieskończonych krzywizn – oddawaliśmy się sobie trzymając jedno drugie w mocnym uścisku dopóki uśmiech nie rozpromienił naszych twarzy.

Jeśli chodzi o stosunek do książek i rzeczy, Britta pozostawała obcym człowiekiem. Otwierała szeroko oczy i wydawała gardłowe, bawarskie dźwięki zdziwienia, gdy opowiadałem jej, jak bardzo obywatele NRD czekali na nowości wydawnicze. Często sam tkwiłem przed księgarnią „Das gute Buch” na Alexanderplatz, by coś zdobyć, a po przeczytaniu podać dalej.

– Pożyczyć znaczy podarować? – spytała.

Jeśli miałbym wytłumaczyć, jakie były Niemcy Wschodnie – lata te sprawiały wrażenie odległej, mitycznej krainy. Gdy temat dedykacji od Janusza był już zamknięty, a my pogodzeni, przypominałem sobie drugiego pilota Interflugu, którego poznałem w budce z przekąskami na Schönhauser Allee. Obaj czekaliśmy

na kurczaka z rożna. Powiedział, że poprzedniego dnia był w Hawanie, co wydało mi się informacją drugorzędną wobec faktu, że w czasie międzyrządowania na lotnisku we Frankfurcie nad Menem kupił egzemplarz opowiadania Christy Wolf *Störfall* i już je przeczytał. W NRD nakład rozszedł się momentalnie.

– Książkę wysłał mi pocztą i natychmiast ją pochłonałem.

– Chcesz tego wszystkiego znowu? – zapytała Britta, ziewając.

– Bzdura – powiedziałem i poszliśmy myć zęby.

Bardziej chciałbym mieć znowu tamtą Brittę – partnerkę z czasów przemian końca lat osiemdziesiątych. Przypomniałem sobie potarganą koleżankę ze studiów, w kowbojskich butach, z mocnym bawarskim akcentem i jeszcze większą pasją poznawania Niemiec Wschodnich. A na początku Niemcy Wschodnie to byłem przede wszystkim ja. Śmiałem się z jej białych spodni, które uważałem za niepraktyczne. Bordeaux piłem tylko ze słodzikiem, bo inaczej mi nie smakowało. Wolałem meble bejcowane na ciemno, a nie jasne w stylu Ikei.

I nie potrafiłem rozmawiać o seksie.

Spis treści

WSTĘP	Słowo od Świadka · 7
I	Warszawa · 9
II	Nowy wspaniały obóz · 19
III	Wizyty u bohaterów · 44
IV	Janusz unosi rękę · 71
V	Feta z oliwkami · 103
VI	Kraj niewinności · 126
VII	Jezu Chryste, mój sernik · 146
VIII	Zajęcia gimnastyczne · 166
IX	Netzbeck · 191
X	Seks z RFN · 202
XI	Dyskretna decyzja · 219
XII	Kyrie eleison · 232
XIII	Finał · 249
XIV	Prochy Janusza · 272

Ze wstępu Zofii Posmysz, cd.

Kompozycja sprawia, że czyta się ten quasi-reportaż jak powieść sensacyjną: przeplatają się wątki, realia, zmienia się odpowiednio poetyka (...). Następują zwroty akcji: uczestnictwo w pracach wolontariatu niemieckich w Muzeum Auschwitz-Birkenau, późniejsza z Januszem wyprawa do Oświęcimia, uczestnictwo w zjeździe byłych więźniów i spotkania z niemieckimi „turydami”, niekonwencjonalnie, werystycznie opisane, wreszcie podróż do Niemiec w poszukiwaniu byłego esesmana, którego Janusz jakoby pamiętał z pobytu w obozie.

Ten rozdział powieści, w którym narrator występuje w roli dziennikarza śledczego, jest fascynującym reportażem. Narrację uzupełniają dokumenty same w sobie niezmiernie ciekawe. I wreszcie – być może najbardziej istotny – walor utworu: wizerunek Janusza z jego słabościami, kompleksami, poobozową traumą. Psychologiczne portrety drugoplanowych postaci, nakreślone nieraz kilkoma zdaniem, oraz autopsichoanaliza samego narratora sprawiają, że ta sugestywna proza mówi o kondycji ludzkiej w ogóle.

Wydano we współpracy z Fundacją
Konrada Adenauera i jej finansowym
wsparciem.
Herausgegeben in Zusammenarbeit
und mit finanzieller Unterstützung
der Konrad-Adenauer-Stiftung.



Konrad
Adenauer
Stiftung

Wydano z finansowym wsparciem
Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller
Unterstützung der Stiftung für
Deutsch-Polnische Zusammenarbeit.



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Café Auschwitz nie

znalazło wydawcy w kraju autora.

Z jakiego powodu? Sam fakt, że sensacyjnie napisana, niemiecka książka ukazała się najpierw w polskim tłumaczeniu, jest bez precedensu.

Wartka, trzymająca w napięciu akcja powieści niemieckiego pisarza średniego pokolenia Dirka Braunsa dzieje się współcześnie w Polsce i w Niemczech. Urodzony w NRD młody nauczyciel niemieckiego i historii w niemieckiej szkole w Warszawie (*porte-parole* autora) staje się świadkiem wspomnień, powiernikiem i wykonawcą zaskakującej ostatniej woli przypadkowo poznanego Janusza, byłego więźnia KL Auschwitz. Ich spotkanie w warszawskiej kawiarni staje się punktem wyjścia dla ciągu wydarzeń obfitujących w zaskakujące i nagłe zwroty akcji.

Bez koturnów i śladów „kiczu pojednania” autor dzięki swej szczerości, autoironii oraz świadomości własnych ograniczeń odpiera pokusę stawiania jednoznacznych ocen i wniosków.

Jest to książka również o dzisiejszej Polsce, pokazanej w taki sposób, że już pierwsza strona nie pozwala się oderwać od lektury i zmusza do czytania następnej, i następnej, i następnej. Dla czytelnika polskiego szczególnie atrakcją jest możliwość spojrzenia na naszą polską rzeczywistość okiem przedstawiciela kraju sąsiedniego, niby bliskiego, a jakże często odległego o całe galaktyki...

akcent

wydawnictwoakcent.pl